

Kiedy w ostatnich dniach pojawiła się informacja, że swoje wakacyjne tournée Giallorossi mają zainicjować meczem z The Reds, wielu fanów - zwłaszcza tych starszych - nie mogło nie pomyśleć o innym meczu Roma-Liverpool. O finale Pucharu Europy z 1984 roku. O porażce, która pali do dziś. O tamtym spotkaniu napisano już wiele. Ale może nadal za mało. Dzisiaj wersja trochę nietypowa. Teatralno-poetycka analiza piłkarskiego spotkania i rzutów karnych. Autor: GIUSEPPE MANFRIDI.

Niewiele pamiętam z czwartej części meczu. Mówiąc inaczej: z drugiej połowy dogrywki. Nie ma po nich śladu w moich zapiskach, które robiłem jako widz. Ani tym bardziej w tym, co pozostało mi wśród wspomnień z trybuny Tevere.

(Głos Pizzula: "Trwają konsultacje... sędzia... gwizdże... Rzuty karne!")

(Narrator ustawia krzesła tak, jakby były słupkami)

7,32. To nie godzina tylko wymiary. To szerokość piłkarskiej bramki. 7,32 na 2,44. Na zaimprovizowanych boiskach te wymiary zostają odtworzone mniej więcej, kiedy - idąc do tyłu - odliczasz kilka kroków od pnia drzewa lub innego niby słupka. Linia bramki. Tworzy się ją, a potem o niej zapomina. Jak na prawdziwym boisku. I tylko wtedy, kiedy dochodzi do rzutu karnego, przypominamy sobie o niej. Kiedy bramkarz się na niej ustawia. Tylko wtedy stara się nawiązać porozumienie z tą wytyczoną gipsem linią, którą normalnie ma za plecami i najczęściej ignoruje. Tylko wtedy po niej depcze, wyczuwa czubkiem buta, opiera się na niej, jakby szukając azylu, a w końcu wpisuje się w światło bramki. To właśnie od tej linii musi zacząć. Takie są przepisy. Tylko rzut karny zmienia linię w prawdziwe miejsce. I to właśnie tutaj, w tym miejscu, bramkarz marzy o swoich największych wyczynach. Tutaj, w samym środku pomiędzy dwoma słupkami.

(Tyłem do publiczności)

Z szeroko rozstawionymi nogami, żeby zwiększyć objętość ciała. Albo z rękami przy ciele, żeby uelastyczyć sylwetkę i spróbować błyskawicznego skoku. Zawsze jednak na środku. O ile nie chce zaryzykować burzącego równowagę przesunięcia, żeby oszukać strzelca...

(Znowu przodem do publiczności)

Jeśli taka zagrywka przyniesie dobre efekty... oklaski i uściski. Jeśli nie - mimo że za karne raczej nie atakuje się bramkarza - niektórzy powiedzą: „Co za głupek! Gdzie żeś się ustawił? Odbiło ci?”

Inna historia, jeśli trzeba stawić czoła nie jednemu rzutowi karnemu, odgwizdanemu za faul w polu karnym, ale całej serii. Każda seria ma swoją fabułę. Swoją dramaturgię. W tym przypadku bramkarz wie, że, rzucając się najpierw w jedną stronę, da sygnał, że takie zachowanie będzie powtarzalne. Albo nie. Niektórzy decydują się nigdy nie zmieniać strony i rzucać się zawsze w prawo lub lewo, myśląc: „Prędzej czy później pomyślą, że zmienię!” Ale tutaj także ryzyko wpadki jest spore... „Co za głupek! Pięć razy w tym samym kierunku! Nie kumasz, że oni cię wyczuli? Odbiło ci?” Taka jest sytuacja widziana z linii bramkowej. Ale jest też inny punkt widzenia. Z punktu wyznaczającego 11 metrów od bramki. Dwie historie. Wklęsłość i wypukłość.

(Ustawia się na “jedenastce”)

Zacząć od prawej nogi, wiedząc, że bramkarz wie, że noga, od której się zaczyna, często jest nogą, którą się strzela... Pozwolić mu w to uwierzyć, a potem strzelić drugą... Patrzeć na jeden słupek i starać się posłać pikę w kierunku drugiego... Strzelić w środek, jak zrobili przed chwilą koledzy, bo pewnie bramkarz pomyśli: „znowu w środek? Nie, na pewno nie!”... Zmyłki. Sztuczki. Nie gra się tu o życie, ale jednak o coś. „Potrzebny jest uśmiech fortuny” - mówi Pizzul, który definiuje sam siebie, jako zwolennika teorii, że rzuty karne to loteria. Ale może - jako prawdziwy piłkarski ekspert - wcale nim nie jest. Może chce po prostu złagodzić ewentualne cierpienia słuchaczy? Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, nie wątpię, że odrzuciłby teorię o szczęściu na rzecz sportowych zasług.

Tamta relacja brzmi, jakby była robiona przez mojego tatę. Dobrego tatę. Przetykam. I oto jesteśmy. Ja tam, wtedy jeszcze młody i nadal pełny nadziei oraz ja tutaj, już nie tak młody. Ja, który już wiem. A jednak znów mam nadzieję. Obejrzałem wszystko jeszcze raz. I znowu. Mogę wam przyrzec, że potoczyło się to właśnie tak, jak się potoczyło. Także tym razem. Za każdym razem. A potoczyło się tak, że strzela młodziutki Nicol. Zbliży się do pola karnego z piłką w rękach, jakby niósł ją do domu. Przestrzela. Baron zmienia zdanie. Zatrzymuje Grazianiego, pierwszego z lity, i wychodzi Di Bartolomei. W niego wierzy bardziej. Lepiej zacząć dobrze. Kapitan strzela i daje nam prowadzenie. Dwa do jednego. Przez 52 sekundy jesteśmy klubowymi mistrzami europy. Szekspir pisał, że lichy nawet *wróbel* nie padnie bez szczególnego dopuszczenia Opatrzności. I dlatego wierzę, że gdzieś istnieje ten Puchar, który mieliśmy przez 52 sekundy. Puchar Agostino. Tylko jego.

Do "wapna" podchodzi teraz Neal. Gol. Znowu nasza kolej. Grobelaar, zahartowany partyzanckimi walkami w dżungli, dostrzega drżenie serca Bruno Contiego. Gryzie siatkę, obraca się i zaczyna kręcić tyłkiem. Czerwone szorty podkreślają frywolność tego gestu, który rozprzestrzenia się na całą bramkę. Nie ma już miejsca poza jednym rogami. Rozgośćcie się, proszę. I właśnie tam kończy piłka. Ajajajaj – jęczy nasz Ksenofont. Jęczy sam, ale jakby jęczał w chórze. Trzeci z czerwonych, Souness wykonuje karny przepięknie, po lewej stronie Tancrediego. Trafienie idealne. Właśnie tam należało trafić. Widzicie?

Righetti podchodzi do piłki. Na pewniaka pakuje ją do bramki Grobelaara, który nie myśli nawet o tym, żeby choć spróbować obrony. On myśli tylko o tym, żeby zmusić przeciwnika do błędu. Mały/wielki sukces Ubaldo Righetiego pozostaje trochę niedoceniony w kontekście tego, jak potoczyły się potem wydarzenia, ale jednak jest.

I dalej. Rush... Jak suchy i ostry dźwięk kosiarki, która zrównuje z ziemią Tancrediego. Trzy dla nas, cztery dla nich. I przychodzi kolej Grazianiego, żeby odwrócić losy tego spotkania. Żeby załatać dziurawą serię. Ale to nie takie proste. W głowie buzuje. Widział przecież, jak przed chwilą jego przyjaciel Bruno został wykiwany przez genialnego cwaniaka w zielonej koszulce. Robi znak krzyża, co wcale nie jest dobrym znakiem, i myśli: „Daleko od niego, ale jednak do środka”. I tak będzie. Tylko że nie wystarczająco do środka. Futbolówka ociera się o bramkę, dotyka jej, jest tak blisko, ale nie wpada. Grobelaar zrobił to samo, co Michael Chang, który w finałowym meczu Rolanda Garrosa przeciw Lendlowi, wygrał piłkę meczową, ustawiając się tuż za siatką przy serwisie Czecha. Kiedy ten podniósł oczy zobaczył tuż przed sobą chiński mur. Wystarczyłoby lekkie przerzucenie, do którego zdolny jest nawet początkujący, żeby pokonać tego małego prowokatora, ale mur był już mocny i nie do ruszenia w jego głowie. Taki pomysł nie przyszedł mu nawet do głowy. I piłka poszybowała poza bramkę. Koniec spektaklu.

Alan Kennedy. Podchodzi i robi, co trzeba. Przypieczętowując historyczny sukces innych, który wyklucza nasz. Nasza historia to historia masy stworzeń samotnych, choć będących razem. Złączonych w ciszy, która staje się małym, cichym kącikiem, z którego patrzymy, jak świat toczy się dalej bez nas. My pozostajemy gdzieś z boku i wrzeszczymy w tej potłuczonej ciszy... Ro-ma! Ro-ma! Roma!...

(Narrator zrzuca szlafrok i rzuca nim w kurtynę)

Dopingując kogo? Skoro mecz się skończył, to kogo dopingujemy?

(Podnosi z podłogi biały dysk, który wyznaczał punkt wykonywania rzutów karnych)

Na niebie pojawia się teraz księżyc. Na niebie się pojawia. Niebo go połyka.

(Przesuwa biały dysk do tyłu, ale trzyma go dalej w górze. Przesuwa przed nim powoli czarny dysk, symulując zaćmienie, dopóki całkiem nie zakrywa białego)

Zresztą to naprawdę był dzień zaćmienia.

(Odstawia dysk na miejsce)

Zaćmienie dysku pola karnego. W nocy dzwoni do mnie Betti i mówi... „Daj spokój, wygranie w taki sposób nie byłoby prawdziwym zwycięstwem”. Widziała to i pozwala mi sobie wyobrazić. Używa słowa „razem”... „Jakbyśmy naprawdę widzieli ten mecz razem”. Ale mnie bardziej interesuje to, co powiedziała wcześniej: „Wygarnie w taki sposób... itd. itd.” Przymykam oczy. Zaciskam usta. Myślę z wysiłkiem... „Powtórz to! Przekonaj mnie!”. Mówi do mnie łagodnie. Powtarza swoją tezę. Upiera się, żeby podziwiać mnie jako przegranego. W pewien sposób czuje się, że i ona czuje się pokonana. Dużo rozmawiamy, ale ona ciągle podkreśla jedno... „... „Daj spokój, wygranie w taki sposób nie byłoby prawdziwym zwycięstwem”. Jakby przegranie tego meczu w taki sposób też nie było naprawdę przegraną. Zastanawiam się. Zacząłem się zastanawiać wtedy i nigdy nie przestałem tego robić. Zawdzięczam jej ten dar. To lepiej, że nie przyszła. Widziałyby mnie zbyt poruszonego. Widziałyby mnie, a nie mecz. A tymczasem może mi powiedzieć: „to nie byłoby prawdziwe zwycięstwo”, dodając: „i wcale nie dlatego, że w grę wchodzi tu szczęście!”. A więc dlaczego? „Pomyśl. Moim zdaniem wcale nie dlatego”. Zmusiła mnie to udzielenia odpowiedzi sobie samemu. Lata, długie lata później. To zasługa, którą mogłem jej przyznać w dniu, kiedy, będąc w Mediolanie w delegacji, pojechałem na via Turati, żeby ją zobaczyć. Akurat przypadkiem była przejazdem w mieście. Przeniosła się do Ameryki jakiś czas wcześniej. Betti... Wielka ekspertka piłkarska. Wielki trener. Sprawiała, że zrozumiałem, że loteria rzutów karnych wcale loterią nie jest. To inny sport.

Na przykład: nie ma kontaktu. Jak w baseballu. Teren zostaje podzielony między tych, którzy bronią, i tych, którzy atakują. Baseball. Amerykański sport. Co nas obchodzi baseball? Nie tylko! Sekwencja karnych to cała seria mikrogestów skompresowanych, których trudności technicznej nie da się jednak zanegować. I dlatego wygrywają niemal zawsze ci mocniejsi. To żadna loteria! Wygrywa prawie zawsze drużyna posiadająca graczy bardziej doświadczonych, zahartowanych w boju. W meczu z Liverpooliem, czy nam się to podoba, czy nie, tak właśnie było. Wiedzieliśmy, kim są The Reds. Ale i tak myśleliśmy, że możemy dać radę. Piłka nożna pozwala zawsze na taką nadzieję. Że mocniejszy zostanie pokonany. To

nadzieja, którą karne przekreślają. To nie jest przypadek, że rzuty karne wykonywane w serii rozstrzygającej mecz nie są dopisywane do dorobku strzelców, którzy je wykonują. Rush zatrzymał się na 49. Nie bez powodu na okładce, którą zobaczyłem dziś ponownie – o na tej! – zaznaczono: „Roma-Lierpool 3-5 po rzutach karnych. Takie oznaczenie trąci biurokracją. Ergo: nie oddaliśmy Pucharu drużynie prawdopodobnie mocniejszej od nas, ale oddaliśmy go nie grając w piłkę, lecz w inny sport. W sport amerykański. Małe pocieszenie? No cóż... Nie takie znowu małe. Nie mówiłem o Falcao. On jest Brazylijczykiem. Nie jest stworzony do amerykańskich sporów, które zresztą może trudno nazwać grami. „Gra w baseball”? To jakoś nie brzmi dobrze.

Przeskakujemy lato. 14 października 1984. Stadion San Siro. Widzę Agostino w czerwono-czarnych barwach. Cieszy się po strzeleniu nam bramki. Śmieszają mnie dziś dziwne grymasy, hamowane emocje piłkarzy, którzy strzelają swojej dawnej drużynie. Bo cóż tamta radość Ago odebrała jego romanistycznej duszy? Cóż odebrała z miłości kibiców? Nic. A co odebrała piłka jemu samemu? „Teraz, kiedy jestem byłym graczem, już się mnie nie atakuje... Świat piłki jest światem bezdusznym. Kręci się tylko wokół siebie samego i wokół swoich małych, niedzielnych dramatów. A kiedy kończysz, gasną światła. Nikt już o tobie nie pamięta”. Odebrali mu jego Curvę Sud. Odebrali mu możliwość życia razem z innymi, razem z nami, z jego kolegami. Odebrali mu całą miłość. Tamtego 30 maja Agostino zabrał to wszystko ze sobą. Na zawsze.

Myślę o tej bolesnej rocznicy. O każdej rocznicy. O tym jak trudno było przeżywać ją samemu, aż do momentu gdy – jakże nieznośne! – upłynęło dziesięć lat. Jaka matematyka działa w naszych wnętrzach? Jaki język kieruje dojrzewaniem liczb wewnątrz nas? Kalendarz, który – w głębi duszy – staje się demonem. I biada, jeśli nic mu się nie przeciwstawi. Będzie zawsze się tam czaił, gotowy pojawić się nagle. Pamiętam zdanie Marisy, żony Ago, matki jego syna. „Krewnych samobójcy wszyscy pytają o przyczyny tajemnicy, która największą tajemnicą jest właśnie dla nich”. Zmarły niedaleko Salerno, Agostino Di Bartolomei zmarł także tutaj. W dniu, który tutaj właśnie pozostaje. Jego śmierć była częścią tego miasta, jak jego częścią jest tamten finał i fale Tybru. I opustoszałe ulice. I zaniedbane piękności. I piękności zbyt piękne.

(Idzie za kulisy. Przynosi jeden numer “ Tuttocittà”)

Oto Rzym. Roma. Bez rodzajnika “la”, który przecież dla nas jest oczywisty. (kartkuje) Tutaj jest wszystko. Piękna książka, powiedziałbym. (Szuka czegoś) A tak... 45-D3... (pokazuje) To tutaj. Co? Pewien punkt miasta, oczywiście. Widzicie? To tutaj. Zaznaczcie sobie te współrzędne, żebyście w domu mogli sprawdzić, o co chodzi. (kieruje się do wyjścia) Nie... To byłoby cwaniakowanie, a ja nie chcę cwaniakować. (znowu pokazuje otwartą książeczkę) Ilustracja 45. D3. Viale Agostino

Di Bartolomei. 00183... Roma.

Z Jedynego Aktu "Dziesięciu spotkań" - Roma-Liverpool

Autor: **GIUSEPPE MANFRIDI**

Tłumaczenie i wstęp: kaisa

Autor: kaisa